



Janusz Styczeń

Milczenie

to nie wieczór,
to skrzydlaty ciemny koń nadchodzi z daleka,
gdzieś z horyzontu,
jest to pegaz, i poeta także nadchodzi,
cała ziemia jest pod ich ciemną władzą,
obaj są zmęczeni

poeta zapomina swoje najlepsze wiersze,
jakby przykrywał nimi mrok,
pegaz rozpościera skrzydła i pod tymi skrzydłami
mrok kładzie się na ziemi i śpi,
milczą gwiazdy

poeta nie oczekuje ich szeptu,
niebo powinno milczeć, bo milczy poeta
i milczy jego pegaz
milczący księżyc jest jesiennym liściem,
który uniośł się ku niebu i nie mogąc
wyżej dojść, zrezygnowany znieruchomiał,
jego tęsknota jest za wielką,
by szumiał lub szeptał,
lub z innymi liśćmi z drzewa ziemi się kłaniał

poeta patrzy na księżyc i dziwi się,
że tak zmęczony i milczący nadal mówi wiersze,
nigdy nie może przestać,
ciało wiersza wysoko na niebie świeci
jedną widzialną stroną,
czyniąc wiersz jawny dla świata i tajemniczy

poeta sam się przechadza po niebie swojego wiersza,
sprawdza, czy wiersz nie za wysoko uniesiony,
czy jego księżycowe ciało dobrze przewodzi
światło tajemnicy na ziemię

poecie jest dobrze w wierszu,
najlepiej milczy się wierszem,
pegaz spogląda na noc pod swoimi skrzydłami,
upewnia się, że ona śpi – i nie przeszkadza

to nie dzień,
to pegaz wraz z całą nocą unosi się w niebo
i pomaga poecie pointą – mgłą dnia
wiersz zasnuć i tym dystansem
na wieczność wiersz zamilczeć,

to, co przemilczane, wieczności nie jest narzucone,
więc wieczność pamięta to najpewniej,
bez wysiłku i bez przymusu

pegaz ściąga poetę z nieba na ziemię,
sam zamienia się znów
w codziennego ziemskiego konia,
by w dalszej wędrówce poecie służyć

wiersz nigdy niepublikowany

Eurydyka

lubił tę chwilę, kiedy leżała odwrócona od niego,
lubił wpatrywać się w sploty warkoczy,
była zakłopotana i chowała głowę w poduszkę,
wpatrywał się w sploty warkoczy, jak w sploty snu,
chciał te senne sznury rozplątać,
chciał w te senne sznury się wdzierać,
chciał uwiesić się splotów snu,
i szarpać nimi, jakby były sznurami,
a jej tajemnica słyszalnym dzwonem

chciał wspinać się po tych sznurach
na samą wieżę jej tajemnicy,
i ciszą sanktuarium się napęlić,
ale to ona sama pod osłoną tarczy włosów
wchodziła na swoją wieżę,
już była w sanktuarium,
i zasłaniała się coraz bardziej,
wydobywała ze swojej duszy włosy za włosami
i wiązała je w sploty o różnych wzorach:
dziennych i nocnych, słonecznych i księżycowych

on już nie nadażał z patrzeniem na wciąż nowe sploty,
on takiego snu nie przejdzie, nie przeniknie,
mężczyzna jest przerażony, ona już nigdy
nie odwróci głowy, zasłoni się tak,
że twarz jej się zatrze, jej sny ją pochłoną
i już nigdy nie ujawnią; mężczyzna czeka
na odwrócenie głowy przez kobietę jak na cud,
i aby mieć pewność, będzie musiał dotknąć
i potrząsnąć jej warkoczami,
jakby dotykał i potrząsał jej snami,
jakby wieżę jej tajemnicy wprowadził w drzenie